

Wieża. Dyptyk babiloński

Rzecz o zdradzie i wierności

Część I. Dobre imię moje

– Więc mówisz, Udamo, że miłosierny Marduk, wielkoduszny Marduk, wspaniałomyślny Marduk odwróci tabliczkę przeznaczenia i pozwoli odbudować Miasto już w jedenastym roku? A nie w siedemdziesiątym, jak zapowiedział za rządów Sîn ahhê-erîby¹? Sprytnie posunięcie, mądre. Siedemdziesiąt, ale jak kamień górą do dołu obrócić, wychodzi jedenaście. Twoi bracia kapłani chytrze to, Udamo, obmyślili. To znaczy, że serce boga uspokoi się już następnej wiosny. Wystarczy tej pokuty, wystarczy. Podniesiemy z ruin Miasto. Mury, bramy, świątynię i Wieżę. Wysoko do nieba. Na jedną milę. Na dwie mile. A może nawet na cztery? Zagaru! W qyżej niż poprzednio – może tym razem sięgnie aż do siedziby bogów i Ziemię z Niebem na powrót połączy? Budowle, Udamo, trzeba od czasu do czasu burzyć, aby stawiać nowe – większe, mocniejsze, piękniejsze. Ludzi zaś warto częściej odsyłać w podziemie; to rodzajowi ludzkiemu tylko wychodzi na dobre. Nowi są bardziej rozsądni. I bardziej spokojni. Więc, Udamo, co najmniej siedem pięter i siedem tarasów. Jak siedem sfer niebieskich. Na dziedzińcu Dom mleka, miodu i wina, a na szczycie Wieży schronienie i łożo dla Marduka oraz jego bezwstydnym hierodul. Dach z cegieł o żółtej glazurze i polerowanych szkiełek. Szkoda marnować kruszec i szlachetne kamienie, z dołu i tak nie widać. Nazwie się go „Złotym dachem” i wszyscy to kupią.

– O tak, panie Puzu, wielkie dni nadejdą niebawem dla naszego miasta, wielkie i pomyślne, pełne dostatku i chwały; Marduk wróci na swoją stolicę, znów będziemy czcić Nowy Rok, znów kapłan podniesie rękę i zaśpiewa hymn „Gdy w górze niebo”. Ale dla naszego Baala, dla Pana Podziemia, którego jestem pokornym sługą, najlepszy czas był za Sîn ahhê-erîby. Miałeś w tym – zdaje się – swoją zasługę, panie Puzu. Wszędzie jeszcze pełno węży, szczurów i skorpionów. Dobry żer miała gadzina, dobry i obfity, to i rozmnożyła się nad miarę. Tylu pluskiew, karaluchów, mrówek, stonóg, pająków, much też tu wcześniej nie było. Już słyszałem, jak niektórzy zamiast „Baal Zebul” mówią „Baal Zebub” – Pan Much. Albo i gorzej: Władca Kupy Gnoju.

– Niech szczzną. Oni, ich synowie i synowie ich synów. Słyszałem to bluźnierstwo. To ci ciemnoocy przesiedleńcy z zachodniej krainy, niedaleko od Phoiniks, Kraju Purpury. Jednego niedawno odesłałem bogom. Nazywał się Abdon. Już muchy się z nim bawią. I z jego rodziną.

¹ Pisownia imienia tego asyryjskiego króla nie jest jednolita – przyp. aut.

– O tak, niech szeszna, ale może z tym robactwem jest coś na rzeczy? Przylatuje tu od paru dni w świątynne ruiny wielka mucha ze srebrnymi skrzydłami. Nisan u progu, wiatr już suchy wieje, to piasek i owady ruszyły po zimie. Siada ta mucha na ołtarzu i patrzy. Siada i patrzy. Nawet nóg nie pociera ni głowy. Zaraz się pewnie pojawi, bo już na południe idzie. Może powinienem oddać jej pokłon? Może to jego służka? Na wszelki wypadek rozsypuję jej okruchy. Tę garść mąki, którą mi przyniosłeś, też tam położę. Powiedzione jest przecież: „Nie jedz chleba przed moźnym”. Ale powiedz wreszcie, Puzu, z czym do mnie przychodzisz, co cię sprowadza do aszipu-uzdrowiciela. Twarz u ciebie niezwyčajnie ziemista, bładys jak ścięty tamaryszek i worki jak stare, zatęchłe daktyle nosisz pod oczami. Smutek i melancholię widzę w twych źrenicach. Czyżbyś był niezdrów, mój Puzu? Czy zgrzeszyłeś, że cię nawiedziła choroba? Czy urok ktoś na ciebie rzucił? Czy dręczą cię edimmu-upiory? Inkuby? Sukkuby? Twoje kłopoty są zmartwieniem Pana naszego. I moim.

– ...jak tu ciemno, Udamo, jakby w mysiej dziurze. I brudno. Ściek spada wprost pod twoje drzwi. Pomyśleć, że stała tu kiedyś dumna Esagila, Świątynia z Wzniosłą Głową. Wlej do kaganka oliwę, przyniosłem ci świeży zapas, zapal nowy knot i wyjmij z torby jedzenie. Pewno jesteś głodny. Masz tam cebulę, [ogórka](#), trochę sera, suszoną rybę z sosem szikkum, kilka ciastek z sezamem i figi. Posil się nieco, długa cię czeka opowieść.

Bo prawdę rzekłeś, Udamo. Nie czuję się zdrowy, siły mnie opuszczają. I nie jest to melancholia, Udamo. Krew mam w moczu prawie codziennie, boli mnie, gdy sikam, a w nocy wstaję co chwila. Najgorzej, że nie mogę już, jak dawniej, zaspokoić mojej Shiptu, nierządnicę, którą zeszedłej zimy wziąłem w końcu do siebie. Mówią wprawdzie: „Nie poślubiaj kurtyzany, która mężów miała bez liku”, ale na starość ktoś ci przecież musi ogrzać kości. Kiedyś mogłem przez sześć dni i sześć nocy bez ustanku i jeszcze siódmego dnia także, a teraz... szkoda gadać. Próbowałem kataplazmów, masaży leczniczych, nawet tych zabawnych ćwiczeń, i nic. Poszedłem pod Bramę Zaprzestania Skarg, by mój lament ustał, by w bramie cudów moje znaki nabrały znów blasku. Ale krew nadal kapłała, nawet jeszcze bardziej. Kazałem sprowadzić młodego chłopca o czarnej skórze i też nie pomogło. Kobiętę o czerwonych włosach. To samo. Czyli – to musi być demon. Który mnie okrywa jak szata. Wyjątkowo złośliwy. Ale jeśli Baal, Pan Choroby, zrodził go przed wiekami, ten sam Baal może demona ode mnie zabrać precz. W tym nadzieja, Udamo. Brat mój zapadł kiedyś na żółtą boleść i to był demon Ahhâzu. Z całą pewnością stwierdził tak uczony egzorcysta. Sam widziałem, jak demon uciekał w popłochu z ciała mego brata. Już po jego śmierci, niestety. Zatem, tylko w tobie ratunek, Udamo, aszipu-uzdrowicielu. I do ciebie się zwracam, Mucho, wierna służko Baala. Jeśli nie pomożecie, czeka mnie śmierć w okropnych męczarniach i potwory ciało moje pożrą. A może to nie jeden upiór, a Utukku, Siedmiu? Już na samą myśl o nich krew mi się znów puszcza.

Bardziej przecież niż choroba i nawet strach przed Siedmioma dręczy mnie niepokój, co też takiego uczyniłem, że mnie złe moce ścigają. Czym zawiniłem, że wokół mnie pustka, ułuda i nicność? Ja, szlachetny Puzur-aszur, znany w Bab ili jako Puzur-erra albo też zwyczajnie: Puzu. Tobie jednemu, kapłanowi naszego Pana, mogę wszystko wyznać, ale przecież win żadnych w sobie nie znajduję. Wiedz jednak, że jeśli mnie zdradzisz, jeśli powtórzysz komuś, co tutaj usłyszysz, Baal rozerwie twoje członki na strzępy i wrzuci do Rzeki. O ile ja sam wcześniej tego nie uczynię. Znasz siłę słowa, Udamo, rozumiesz więc, że gdy coś mówię, to nie jest na próżno.

Słuchaj więc, Udamo. Do tej pory wszystko szło jak trzeba. Wszystko szło jak trzeba. A jak miało iść? Ojciec dał mi dobre imię, bardzo dobre imię, imię doskonałe, i dlatego Aszur z Północy miał zawsze nade mną opiekę (w czym mu się przecież odwdzięczyłem potem po sześćdziesięciokroć). To prawdziwe imię chroniłem... i nadal go chronię. Raz dlatego, że odkrywało zanadto moje przywiązanie i późniejszą służbę, dwa – by ktoś czarów na mnie zniecka nie rzucił. W świątyni naszej wspaniałej, Mardukowi i innym bogom poświęconej, ojciec mój, gdy jeszcze chłopięciem byłem, stelę kazał postawić, a na niej napis uczynił: „Król huraganu, Enlil, który nie ma rywala, patrzy przychylnym wzrokiem na Puzu, mojego jedynego syna”. Potem, gdy już starszy byłem, dodał jeszcze: „Nabu, syn Marduka, wymienił z boginią Isztar przychylnie słowa na temat Puzu”. Puzu – człowiek Nabu. Puzu – człowiek Isztar (lepiej dwóm panom służyć, a trzem – już znakomicie...). Jakże więc bogowie mieli mi nie sprzyjać? Tym bardziej że nie minąłem nigdy żadnego ulicznego ołtarza, choćby najlichszego, jeśli świeżego lub suszonego daktyla albo cząstki podpłomyka nie położyłem w ofierze.

Od najwcześniejszych lat przestrzegałem paru prostych zasad. Podróżowałem przez Międzyrzecze tylko dobrymi drogami (nigdy nie zapominając splunąć na polne kamienie przydrożne, co tak nieprzychylne były Mardukowi i są mu wciąż nienawistne). W Mieście chodziłem tylko pod dobrymi bramami, Isztar i Kaldu szczególnie mając w poważaniu. Wchodziłem i wychodziłem bramami: obfitości, dobrego geniusza pokoju, życia, słońca, wyroczni, odczyniania złych uroków, kresu skarg i oczyszczenia, omijałem zaś złe, które mogą sprowadzić nieszczęście. Czcilem liczbę 60, świętą liczbę 60 boga największego, Marduka, oraz liczbę 40, która przynależy do Ea, boga „Dwie trzecie 60”. Sny śniłem zawsze w cyklach po trzy (nie takie to trudne, jak się człowiek postara), a rzeczy domowych inaczej nie robiłem, jak w seriach po siedem (z moją Shiptu na przykład).

Życie moje, Udamo, było bogobojne i pracowite, uczciwe. Ojciec oddał mnie jeszcze dzieckiem do prywatnej szkoły dla skrybów. W szkole pokazało się, że duże mam zdolności i pamięć wyborną, by bez problemów czytać i pisać, jednak nie dość wytrwały jestem, by znakom i kamieniom poświęcić cały żywot. Nie byłem tak głupi, by treścią moich dni stały się rylec i kolofon, żeby zostać jakimś podrzędnym skrybą świątynnym albo w najlepszym wypadku – tupśar ekalli, pałacowym pisarzem. Zająłem się więc kupiectwem. Handel lepszy jest niż znojna praca, bo czy mokrądko otrzymuje nagrodę w swoich trzcinach, a pole w swych uprawach? Sen raz miałem taki, że siedzę na

złotym krześle, jem złote jabłka ze złotego półmiska i piję złote wino z kielicha ze złota. Poszedłem zaraz do wróżbiarzy-baru, którzy – a jakże – przepowiedzieli mi długie życie w dostatku i zdrowiu...